

Szwaj càrid

bilet
w jedną
stronę

pascal

JOANNA LAMPKA

Szwaj caria

bilet
w jedną
stronę

czyli jak przeżyć
między krowami
a bankami

Pascal

Spis treści

Dlaczego między krowami a bankami? Bo Szwajcaria to jedyne miejsce na świecie, gdzie kilka kroków od zimno-marmurowej siedziby potężnego banku mogą paść się krowy. Liczba pozornie niepasujących do siebie elementów w tym kraju sprawia, że tworzą one przedziwną, jakże interesującą mozaikę. Tak jak i ta książka! Doświadczenia emigracyjne, Szwajcaria jako światowy fenomen, anegdoty i opowieści – oto spis treści, który nie pozwoli wam się zagubić między krowami a bankami!

I. NA EMIGRACJI CZASEM GOSPEL, CZASEM BLUES...

...ale jeśli płaczemy, to śmiejąc się w głos (i w mercedesach, a to wygodniejsze niż na rowerze!). Oto kategoria emigracyjna, do której kwalifikują się wszystkie rozdziały opowiadające o trudnych początkach w nowym kraju i o próbach integracji ze szwajcarskimi sąsiadami w wioseczce we francuskojęzycznej części Szwajcarii.

Bilet w jedną stronę	8
Szwajcarscy sąsiedzi, czyli nothing is what it seems	12
Fatalnie, kurwa!	32
Klub importowanych żon	35
Wieża Eiffla w ogrodzie kontra poważna, niepijąca ekipa (i pies!)	40
O pralce, której nie ma, i o kłopotach, gdy jest	51
Nie kłam na rozmowach kwalifikacyjnych albo wypadną ci włosy	55
Indeks słów zakazanych	64
Dobry zwyczaj nie przeliczaj	66
Święta, święta i po świętach	69
Nasza wieża Babel	85

Jak zostałam nauczycielką polskiego	105
Na wojnie w Ferney-Voltaire, czyli cosobotnie zakupy we Francji ..	133
O tęsknocie, czyli jak się przyjaźnić z dala od przyjaciół	137
Śmieciowe story	159
Pocałował mnie diabeł	180
W czym Polacy są lepsi od Szwajcarów, czyli o tym, jak Polska grała w nogę ze Szwajcarią	200
Wyrostek, czyli rozmowy o życiu z doktorem McDreamy	239
Ratuj się kto może, czyli szwajcarska impreza	253
Polsko-szwajcarskie problemy natury miłosno-seksualnej w pytaniach i odpowiedziach	270
Sen nocy letniej	286
Sezon na sikorki	292
Czarny pies	298
Ten jeden dzień w Bazylei	308
Co Szwajcarzy myślą o Polsce, czyli o białych misiach, pijanych na drodze i Swarożycu	320
Niczego nie żałuję!	378

II. TYMCZASEM W SZWAJCARII...

...ser, krowy i demokracja bezpośrednia. Szwajcarzy importują żony, głosują w licznych referendach, jedzą kolektywnie, jak im kukułka wykuka południe i robią to wszystko, o co byśmy ich nie posądzali. Na przykład każą dzieciom samodzielnie chodzić do szkoły. Nie ma mowy o odwożeniu, nie ma mowy o odprowadzaniu!

Solidarni w nienawiści	24
Pies i zebra	47
Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za nasze dzieci	58
A ty? Ile kilogramów temu przyjechałeś do Szwajcarii?	76
Gdy młody Szwajcar staje się mężczyzną, czyli o demokracji bezpośredniej i imprezach gminnych	94
Co słyszeć, panie, w polityce?	110

To zależy od kantonu	163
Jak hałasować w Szwajcarii... to w odpowiednich godzinach	196
O wiatrach i innych przypadłościach	217
Szwajcaria jest armią	229
Ballada o miotle i róży	280
O abonamencie radiowo-telewizyjnym i sprzedaży siebie	368

III. BLABLIBLU WIE NAJLEPIEJ...

...czyli 100 porad mojej babci odnośnie do wyboru
męża, 100 opisów dziwnych Szwajcarów
(z czego 99 to moi sąsiedzi), 100 historyjek
o spaniu z kozami, 100 dywagacji na temat natury
człowieka ze wskazaniem na człowieka szwajcarsk...
Zaraz, wróć! Z kozami?!

Futbol, emigranci i Krokodyl	20
My, alpejscy terroryści	88
Szwajcarski nóż oficerski ratuje życie	124
Historia o Panu Kwiatku, której nie ma	126
Biernik a kwestia życia i śmierci	142
Negocjacje po szwajcarsku	146
Slow life na polskiej prowincji	152
Kto go budził w piątki?	157
Nieważne	177
Legenda o dahu	187
Bo chłop musi mieć fach w ręku... czyli mojej babci porady odnośnie do wyboru zawodu	194
Najważniejsze pytanie po „Jak się nazywasz?”	207
Czekoladowe oczy mojego taty	209
What goes around, comes around	221
Śmierć i Krokodyl	224
Gdy Szwajcar udaje Polaka...	226
O dysonansie poznawczym	242
Moja Polska ma schizę	243
Śmiech à la Schwyzertüütsch	250

Joga z księdzem i mrówką	260
Jestem Polakiem	263
Co się stało pewnego rozgrzanego popołudnia w gaju oliwnym?	266
Gluten zabija	268
Kocham cię w chuj!	278
Metoda na babcię po szwajcarsku	303
Najgorsza ciocia pod słońcem	318
Rodzice wiedzą lepiej	376

IV. WPADŁAM DO STUDNI...

...na ile metrów? Kategoria unikalna, bo znajduje się tu tylko jeden rozdział. Ale za to jaki... Czy to, co zdarzyło się w małej alpejskiej wiosce przy Studni Czarownic, to prawda, czy nieprawda? Na to pytanie musicie odpowiedzieć sobie sami.

Studnia Czarownic	327
-------------------------	-----

Bilet w jedną stronę

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedyś zacznę się uczyć francuskiego. Hell yeah!, natürlich, dos cervezas, a nawet pażałsta, ale nigdy, przenigdy s'il vous plaît. Nawet nie miałam takich ambicji. Co prawda, muszę przyznać, że podstarzały hydraulik z włochatymi pośladkami meldujący po francusku odetkanie rury był w stanie wywołać moje ochy i achy, nie mówiąc już o pięknookim Szwajcarze napotkanym pewnego razu w pubie na krakowskim Kazimierzu. A jednak stało się, mleko się rozlało, statek wpłynął do portu, Szwajcar tam był, siedział naprzeciwko mnie i pytał niewinnie po angielsku, o czym ja tak tonę oprócz jego oczu.

– What are you sinking about, Żoana?

No ja, mój miły, tonę o tym, że muszę nauczyć się francuskiego, bo inaczej to my się raczej nie dogadamy. I tu akurat nie ma żadnej metafory.

Tylko jak to zrobić, skoro po francusku pięć razy więcej samogłosek na piśmie niż w mowie, w dodatku h nieme, h przydechowe, wzdechowe, wzdychające i bezdechowe, a dwuwersowe zdanie to już w ogóle, puf! i go nie ma, wypowiedziane na głos ma zaledwie dwie sylaby... – takie to wesołe myśli przechodziły

mi przez głowę, gdy zapisywałam się na kurs dla początkujących. Na kursie francuskiego dla początkujących spotkałam oczywiście samych „początkujących”. Jedna pani przez rok pracowała w Belgii, druga pisała maturę po francusku, a trzecia „ani trochę nie знаła francuskiego, nawet podstaw, ale sam język jej się podobał, w związku z tym liczyła na to, że nauczy się na kursie”. To całkiem jak ja i już chciałam przybić z nią piąteczkę, ale coś mi się nie zgadzało. Rzeczona pani powiedziała to po francusku.

Myślałam wtedy, że dobrze mi zrobi towarzystwo tak wyedukowanych dam. W końcu lepiej równać do wyższego poziomu, niż pikować do niższego. Już po pierwszej lekcji chciałam seksownie zachrypieć „Je n’ai regretté rien...”. Okazało się jednak, że na pierwszej lekcji nie będziemy się zwierzać z tego, czego żałujemy, i mówić, że niczego, ale nauczymy się przedstawiać.

– Żeeee yyyyy mapel Żoana...

Dlaczego francuski hydraulik potrafi seksownie ogłosić światu, że właśnie odetkał rury, a moje żemapel brzmi jak jęk słonicy? – myślałam zrozpaczona, ćwicząc przed lustrem niczym Kiler swoje „you talking to me”. Odpowiedzi na to pytanie nie znam nawet teraz, po kilku dobrych latach. Mój francuski brzmi seksownie tylko wtedy, gdy boli mnie gardło... Wracając jednak do naszej opowieści, mój osobisty Szwajcar wcale nie słyszał w moim żemapelu jęku słonicy, ale ćwierkanie wróbelków, chrobot chomiczków i popiskiwanie myszek, co niewątpliwie oznacza, że miłość jest nie tylko ślepa, ale i głucha.

– Ale tak w ogóle, to przejdźmy już teraz, kochanie, na angielski, dobrze?

Wreszcie, po roku zwiedzania lotnisk i powtarzania za panią od francuskiego „Poproszę bagietkę” i „Boli mnie brzuch, panie doktorze, ale nie boli mnie głowa”, zapadła decyzja: rzucam wszystko i jadę do Szwajcarii podbijać świat. Jak tysiące dziewczyn przede

mną i tysiące po mnie spakowałam się w jedną walizkę, zostawiłam za sobą wszystko i wyjechałam w nieznane za miłością, którą znałam tylko z wykradzionych codzienności weekendów.

Czy mogłam się domyślić, że Szwajcaria stanie się dla mnie czymś więcej niż tylko miejscem zamieszkania? Nigdy nie miałam ani ambicji, ani chęci, żeby zapuszczać w niej korzenie, a co dopiero mówić o pisaniu o niej książek! Zawsze pociągała mnie surowa, tajemnicza Skandynawia, kusity leniwe, rozstłonecznione Włochy, przywoływała uduchowiona Azja, ale Szwajcaria? Bankierzy i korporacje, jodłowanie i sery, blichtr i zegarki. Co ja, poszukiwaczka przygód a nie pieniędzy, mogłam mieć wspólnego ze stereotypowym wizerunkiem tego kraju?

Ale gdybym była nieco bardziej przesądna... Bo muszę się przyznać, że dawno temu na andrzejkach wylałam sobie przez klucz istną woskową mapę Szwajcarii. Gdy jednak zerknęło się na nią pod innym kątem, wychodziła motyka. A tu Szwajcar się napatoczył, a nie rolnik... Więc spakowałam się, wycłowałam spłonione, wyedukowane panie od francuskiego, obiecując im, że na pewno pierwsze co powiem, to „Boli mnie brzuch, panie doktorze, ale nie boli mnie głowa” i kupiłam bilet. Bilet w jedną stronę.

Szybko się okazało, że bardzo dobrze opanowałam francuskie nieme h. Zresztą nie tylko h. Było też nieme bonjour, merci i au revoir, a moje bezgłośnie pardon nie miało sobie równych. Tylko parle-wu-ągle wypowiedane tragiczno-przerażonym tonem jakoś tam względnie było słychać. Niestety nie dało się łatwo wywinąć. Po pierwsze, mieszkańcy Romandii, czyli francuskojęzycznej części Szwajcarii, dość kiepsko i niechętnie parlają po ągielsku. Po drugie, quid pro quo, Panie i Panowie. Jeśli się gapisz, ściągasz na siebie cudze oczy. Innymi słowy, moja ulubiona czynność, czyli obserwowanie bliźnich, nie była najlepszym

sposobem na uniknięcie kontaktów międzyludzkich. A Szwajcarzy kochają pogawędki. Jeśli siedzenie w autobusie jest wolne, każdy porządny Szwajcar zapyta, czy może usiąść, jakby to nie było oczywiste. Gdy kopiesz rabatę, każdy porządny Szwajcar skomentuje „O, kopie pani rabatę” tak odkrywczym tonem, jakby miał zamiar powiedzieć „O, zakopuje pani zwłoki”. „Tak, zakopuję zwłoki innego ciekawskiego sąsiada. Miłego dnia!” – odpowiadałam, oczywiście po swojemu, czyli bezgłośnie, obdarzając interlokutora czarującym, niemym uśmiechem.

Na szczęście świetnym lekarstwem na fazę bezgłośnego bonjour był mój osobisty Szwajcar, który po prostu odpowiadał za mnie, podczas gdy ja kiwałam głową tak entuzjastycznie, że po takiej rozmowie szyja bolała mnie niczym po koncercie Metalliki. Feministki mogą się oburzać: „Nawet nie dał tej dziewczynce dojść do słowa”. Niech się oburzają. Żadna z nich nie miała swojego prywatnego bułteriera, odpowiadacza na pytania.

I tak się to wszystko zaczęło! Pięknooki Szwajcar, lekcje francuskiego, bilet w jedną stronę, etap bezgłośnego bonjour i największa przygoda mojego życia: emigracja. Emigracja, która działa jak rentgen, jak „sprawdzam!” w pokerze, jak szczerza rozmowa z przyjacielem. Daje świetną perspektywę na inny kraj, na obcokrajowców i na to, co zwykliśmy nazywać innością, obcością... Ale przede wszystkim daje świetną perspektywę na siebie samego.

Czy to książka o Szwajcarach i Szwajcarii? Niech będzie, że tak.

Ale tak naprawdę jest to książka o Polakach i Polsce widzianych stęsknionymi, zeszwaścarszczonymi szarymi oczami autorki.

Szwajcarscy sąsiedzi, czyli nothing is what it seems

Pierwszym oficjalnym etapem po postawieniu emigranckich stópek na obczyźnie wcale nie jest etap bezgłośnego bonjour, ale etap wicia gniazdka. Każdy standardowy świeżak szuka wtedy mieszkania lub pokoju do wynajęcia. Normalnie etap ten by mnie nie dotyczył, ponieważ, jak wspomniałam, przyjeżdżałam do chłopaka, chłopak ów mieszkał jednak na wsi pośrodku niczego. Jak to, ja, lublinianka z urodzenia, krakowianka z wyboru, miałam mieszkać tam, gdzie wiatr hula i psi wyją? A więc się przeprowadziliśmy. Ale nie do miasta, tylko znowu do wioseczki, bo, proszę Państwa, ten mój Szwajcar, to Szwajcar z krwi i kości, a każdy szanujący się Szwajcar mieszka na wsi i ma ogród, gdzie pasie krowę. W mieście mieszka zwykle emigracja i patologia, bo nie ma tam miejsca na krowy, które, jak wszyscy wiedzą, łagodzą obyczaje. Nowa wieś była o tyle akceptowalna, że miała świetny transport publiczny. Innymi słowy, zapgrejdowaliśmy wieś.



Romandia, czyli zachodnia, francuskojęzyczna część kraju, gdzie zawiodła mnie moja podróż w jedną stronę, jest nieco inna niż Szwajcaria, jaką znamy ze stereotypów. Mówi się nawet, że tam „pracuje się, żeby żyć”, podczas gdy w części niemieckojęzycznej „żyje się, żeby pracować”. Niewątpliwie w Romandii są widoki, które odciągają od biurka!
Na zdjęciu St-Saphorin na brzegu Jeziora Genewskiego.



Celem mojej podróży była malutka wioseczka 15 kilometrów od Lozanny.
Pierwsze wrażenie, jakie sprawiła na mnie Lozanna?
Wdzięczna jak francuskie, senne miasteczko ze starych filmów, nawet w centrum miasta.
Na zdjęciu widok z mostu Bessières na katedrę.

Ale żeby przynajmniej te szwajcarskie miasta to były takie prawdziwe miasta! A to są takie miasta jak u nas miasteczka. Lozanna, niby wielka metropolia, jest tak olbrzymia, że Bielsko-Biała to przy niej Nowy Jork. Zurych – o tak, oczami wyobraźni widzicie już pewnie te marmurowe fasady banków – otóż Zurych chowa się za krzakiem w porównaniu z Krakowem. Berno – ichniejsza „stolica” (w cudzysłowie, bo Szwajcarzy zarzekają się, że stolicy nie mają), to hmmm... Nasz Radom ma niemal dwa razy więcej mieszkańców. Ale to niekoniecznie jest wada. Miasta są ludzkich rozmiarów, co daje możliwość przemierzania ich na piechotę w przypadku zbyt silnych wiatrów, które mogą wystąpić po zasiedzeniu się w barze. Cóż, zdarza się najlepszym, a dotrzeć do domu jakoś trzeba.

Tego, jak bardzo różne mamy podejście do wielkości miast, dowiodła jedna z pierwszych rozmów z moim osobistym Szwajcarem.

– Ja mieszkam w takiej małej wiosce. Ale mam tylko 10 minut autem do Morges! To jest spore miasto.

– A ja mieszkam w Krakowie. Ale lubię wieś. Moi rodzice mają domek w Krasnymstawie, to taka mała, kochana miejscina na wschodzie Polski. I jest fajnie. Wujek ma szczęśliwe kurki, tak sobie chodzą i dziobią, i wydziobują... mamie sałatę z ogródka.

– Daj mi moment, sprawdzę na Wiki wieś twoich rodziców. Hmmm, Krasnystaw koło Lublina? 19 tysięcy mieszkańców?

– Tak, dokładnie!

– W tym dużym mieście, koło którego mieszkam, jest 14 tysięcy.

W mojej nowej wiosce było tylko 500 mieszkańców. Ale żeby tam zamieszkać, musieliśmy przejść jeden ważny test. Musieliśmy zostać zaakceptowani przez szwajcarskich sąsiadów.



Jednym z najbardziej klimatycznych miejsc w Lozannie są schody Escaliers du Marché wiodące ze Starego Miasta do katedry.



W każdy śródowny i sobotni poranek na Starym Mieście odbywa się targ.

Zwykle wynajęcie mieszkania jest nieco prostsze. Należy złożyć aplikację ze wszystkimi dokumentami, włączając w to umowę o pracę i pozwolenie na pobyt, stanąć w 3-kilometrowej kolejce i czekać na łaskawą akceptację naszej kandydatury przez właścicieli mieszkania. Jednak lokum, o które aplikowaliśmy, było wyjątkowe. Znajdowało się w domu podzielonym na dwa mieszkania, dlatego Szwajcarzy uznali, że kompatybilność między sąsiadami jest w tym przypadku niezbędna.

– Jak mogę być kompatybilna z 70-letnimi Szwajcarami, którzy mówią tylko po francusku? – zastanawiałam się spanikowana przed naszym interview, jedną ręką naciągając rajtki, a drugą szorując zęby.

Początkowo wszystko zdawało się iść znakomicie. Herbatka, ciasteczka, uśmiechy. Nie wyszłam jeszcze z fazy bezgłośnego bonjour, miałam więc stanowić tam jedynie element dekoracyjny. Element dekoracyjny nie miał już jednak czasu na zmianę czarnych rajtek, których największą ozdobą było oczko wiodące od kostek przez najbardziej strategiczne miejsca. Mój chłopak też nie nadawał się na element dekoracyjny, bo akurat zepsuła mu się maszynka do golenia. Dlatego, starając się postawić na element intelektualny, wysiliłam wszystkie szare, francuskie komórki i zapytałam:

– A dlaczego dom nazywa się Elkana? Skąd się wzięła ta nazwa?

Tu musicie wiedzieć, że niemal wszystkie wille w Szwajcarii, szczególnie te starsze, mają imiona. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedział mój chłopak:

– Elkana to ojciec Samuela...

I wszystko jasne. Dlaczego Szwajcarzy są bogaci? Gdy ty skupiasz się na umyciu zębów i poprawnym zadaniu pytania po francusku, oni wkuwają Stary Testament, żeby zaimponować

sąsiadom. Grunt, że zrobił wrażenie. Sąsiedzi patrzyli na niego z osłupieniem. Dlatego, żeby się wytłumaczyć, dodał:

– Ach, jakoś tak samo wyszło. W izolatce na 3 metrach kwadratowych miałem tylko materac i Biblię...

Okrągłe jak spodki oczy sąsiadów zrobiły się jeszcze większe. Utkwiłam wzrok w malowniczej dziurze na kolanie. Steve brnął w nicość niczym kamikadze, boski wiatr:

– W wojsku przyłapali mnie ze skrętem w zębach tuż przed prowadzeniem ciężkiego transportera. Wrzucili mnie więc do izolatki na tydzień. Przez pierwsze dwa dni tylko odsypiałem, ale później tak się nudziłem, że przeczytałem całą Biblię. Dwa razy! Po niemiecku!

W myślach już byłam w ogródku, już żegnałam się z tym pięknym domkiem. Ech! Może kiedyś w końcu znajdziemy jakieś mieszkanie, pewnie wtedy, gdy ja nauczę się francuskiego, a mój chłopak zamilknie na zawsze. Tymczasem wyraźnie poruszony sąsiad wstał i poszedł do kuchni, powtarzając:

– Co za czasy, co za czasy...

Uwaga, uwaga, zaraz zacznie się kazanie po francusku o zepsutych młodych. Zamykamy uszy!

– Co za czasy, co za czasy, tylko tydzień – sąsiad powtarzał w kuchni, brzdękając naczyniami. – Ja siedziałem miesiąc! Złapali nas, jak o czwartej nad ranem wracaliśmy z dyskoteki do jednostki. Kolega spadł z drugiego piętra i złamał nogę. Dart się wniebogłosy, dlatego nas złapali. Ale nie żałuję... Pamiętasz, myszko, to wtedy się poznaliśmy – powiedział sąsiad do swojej 70-letniej żony, wracając do pokoju z bursztynowym trunkiem w karafce i z maciupenkimi kieliszkami. – No, to mówcie mi François!

Jaki z tego morał? W Szwajcarii, żeby coś załatwić, trzeba mieć znajomości... z wojskowej paki!



Miasto jest malowniczą kanwą dla ulicznych artystów.

Lozanna odpoczywa i bawi się w Ouchy na brzegu olbrzymiego Jeziora Genewskiego.



Futbol, emigranci i Krokodyl

Bary dzielą się na takie, do których chodzi się z rozchichotanymi przyjaciółkami na szpilkach, i na takie, gdzie chodzi się samemu w dwóch różnych butach. No, może nie aż tak, ale przysięgam, że w tych drugich wygląd musi mówić „takich jak ty, kochasiu, to ja łykam na podwieczorek”. Bo tam się bynajmniej nie chodzi na podryw.

Lepiej nie mylić tych miejsc. Dziewczyny w letnich sukienkach w tym drugim zmarszczą słodkie noski na brudną ceratę i ciepłą whisky zamiast zimnego Spritza, zaś w tym pierwszym samotni będą ściągać na siebie niechciane spojrzenia.

Mam w moim szwajcarskim miasteczku taki bar numer 2. Nazywam go Krokodylem, choć po francusku jego nazwa brzmi Café Croco. To takie miejsce, gdzie nawet E.T. przebrany za SpongeBoba nie przyciągnąłby zdziwionych spojrzeń. Do takich barów jak ten przychodzi się samemu tylko na jednego, pomiędzy pracą a domem, pomiędzy domem a znajomymi, pomiędzy kochanką a żoną. Zawsze pomiędzy, nigdy docelowo. Pewnie dlatego jest mi tam tak dobrze.

Gdy słyszycie brudna cerata i ciepła whisky, pewnie macie przed oczami jakąś melinę i żulernię, a to wcale tak nie jest! Krokodyl to najbardziej egalitarne miejsce pod słońcem, gdzie biznesmeni w garniturach od Armaniego dodają sobie odwagi przed kolejną awanturą domową, panowie w skórach gorączkują się końmi pędzącymi po ekranach, a pomiędzy nimi snują się jednooki pies rasy burek i dym z fajki barmana, który woli płacić kary, niż wyjąć czasem śmierdziucha z japy.

- Strasznie się dziś kurzy z Burka – zagaduje barman po francusku, leniwie wycierając kufle.

- Co ty nie powiesz – mruczę po polsku i to jest jedyne miejsce, gdzie nikogo to nie rusza.

Skąd mogłam wiedzieć w czerwcu 2012 roku, gdy weszłam do głośnego, półotwartego baru w Morges, że stanie się on moją świątynią samotności, moim poidłem inspiracji i moją ulubioną kryjówką przed światem za każdym razem, gdy ten będzie się stawał odrobinę zbyt rzeczywisty.

Steve powiedział:

- Znajdź jakieś miejsce w barze przed telewizorem, żebyśmy mogli pokibicować. W końcu gra Szwajcaria! Mistrzostwa Europy, ważny mecz. Ja stoję w korku na autostradzie, ale zaraz do ciebie dołączę.

I znalazłam. Miałam wtedy na sobie białą sukienkę w kwiaty, byłam spocona i bardzo polska. Nie marszczyłam jednak noska na ceratę, ciepłą whisky ani plastikowe krzesła. Bardziej dziwiłam się tej kosmicznej mieszance gości. Nie to, żeby całe towarzystwo było aż takie szemrane. Część może odrobinę była bezdomna, ale tylko odrobinę. Żadnych problemów z higieną. Może i nie myją zębów, ale za to myją ząb. Jaka oszczędność na paście, i szczoteczka mniej się zużywa!

No dobra, przesadziłam. Wśród dziwnych typów z brudnymi dreadami w barwach narodowych siedziały wymalowane na biało-czerwono rodziny okręcone flagami. Tak, jakby ktoś pytał, o dziwo, flagami szwajcarskimi, a nie somalijskimi czy flagami planety Melmac. O dziwo, bo na wczasach w Timbuktu albo podczas bliskich spotkań trzeciego stopnia gdzieś tam w odległej galaktyce z pewnością wzięłabym ich za autochtonów. Owszem, jak mówią statystyki, więcej niż 25% mieszkańców Szwajcarii pochodzi z zagranicy, ale dlaczego musiało mnie to uderzyć w twarz akurat podczas meczu Szwajcarii. Tamtego ranka wyczytałam w szwajcarskiej prasie, że najwięcej osób, które kibicują przeciwko Szwajcarii, mieszka w samej Szwajcarii. Czyżby to byli ci wszyscy imigranci, którzy wreszcie mogli przytrzeć nosa szwajcarskiemu szefowi czepiającemu się o każde spóźnienie? Dlatego też mimo pozytywnych wibracji wkraczałam do tego baru pełna wątpliwości, jak jedyna chrześcijanka do meczetu.

Zaczął się mecz, a tam... Powiedzmy tak – z chęcią zaprosiłabym do Morges tego dziennikarza od porannego artykułu. Szwajcarii kibicowali czarni, czerwoni, biali, zieloni i nawet ten jednooki pies rasy burek, który chrypiał hau, hau w rytm okrzyków Hopp Suisse. Pies może miał tylko jedno oko, ale ilość jego zębów zdecydowanie przewyższała średnią knajpianą.

Miejsca znalazłam stojące pośród biznesmenów, którzy przybiegli do baru prosto z pociągu. Jeszcze nie usiadłam, gdy za moimi plecami zmaterializował się chłopak z farbkami, proponując mi wymalowanie flagi na policzkach.

- Eeeeeee, ale ja nie jestem Szwajcarką.
- Ja też nie – odpowiedział po angielsku.

Po pierwszej połowie jeden pan postawił wszystkim kolejkę, bo „trzeba opić to, że jeszcze nic nam nie strzelili”, potem kolejne,

bo „trzeba opić to, że strzelili nam tylko jednego” i „trzeba wypić pod to, żeby już więcej nam nie strzelili”. A potem zdaje się, że tłumaczyłam barmanowi, że „Lewandowski powinien bardziej współpracować z naszymi”, a on uroczyście przytakiwał, ani trochę się nie dziwiąc, że to nie ten mecz. W końcu to Krokodyl, Panie i Panowie. Szwajcaria przegrała, ale Krokodyl...

pascal

Solidarni w nienawiści

Szwajcaria to kraj wielce nietypowy, jak wszyscy wiedzą. Nie dość, że podzielony na 26 kantonów, a w każdym kantonie obowiązuje inne prawo, święta wypadają w inne dni i mówi się w różnych językach, to jeszcze jego obywatele różnią się mentalnością w zależności od miejsca zamieszkania.

Co to oznacza w praktyce? Niektórzy mówią, że Szwajcarzy niemieckojęzyczni to tacy Niemcy do kwadratu, a Szwajcarzy francuskojęzyczni to Francuzi do kwadratu. Inaczej sprawa wygląda ze Szwajcarami włoskojęzycznymi, którzy, jak fama niesie, są otwarci i ciepłi jak Włosi, a w bonusie także punktualni. Czwarty język to romansz, którym posługuje się tylko 0,6% Szwajcarów gdzieś hen, hen, w odciętych od świata wioskach w alpejskim kantonie Gryzonja. O charakterze Szwajcarów mówiących w romansz antropologzy na pewno doniosą, gdy tylko kiedyś znajdą takich osobników.

Szwajcarzy francuskojęzyczni, którzy otaczają mnie na co dzień, oglądają zarówno szwajcarską telewizję publiczną nadającą po francusku, jak i kanały francuskie, czytają „Le Monde”, a nie „Neue Zürcher Zeitung” i biorą udział w *La France a un incroyable talent* (francuskim *Mam Talent!*). Gdy przychodzi do



Stolica/niestolica Szwajcarii, Berno, nie jest ani największym miastem tego kraju, ani nawet nie posiada ważnego międzynarodowego lotniska... Jest jednak niewątpliwie piękne.

Kramgasse ze słynnym zegarem Zytglogge.
Na kilka minut przed równą godziną zegar urządza prawdziwy teatr.



referendum, głosują inaczej niż ich rodacy zza Röstigraben, czyli zza granicy placka ziemniaczanego rösti. Tak, tak, nie regulujcie okularów, niewidzialna granica mentalności i poglądów pomiędzy częściami niemiecko- i francuskojęzyczną ma swoją oficjalną nazwę, która w dodatku pochodzi od typowego dania chłopskiego jadanego niegdyś w kantonie Berno na śniadanie. Na zachód od Röstigraben Szwajcarzy na śniadanie pijali kawę i drobili eleganckie croissanty, zaś na wschód od Röstigraben na stół wjeżdżał solidny placek z bekonem, jajkiem i serem. A jeśli kuchnia nie definiuje naszej kultury, to cóż innego?

– Zerknijmy na mapę. Czy Szwajcarzy zagłosowali znowu zgodnie z Röstigraben? – pytają redaktorzy podczas niedzielnych programów po każdym referendum.

– Taaaaak. Romandia znów otwarta i proeuropejska, a część niemieckojęzyczna broni tradycyjnych szwajcarskich wartości. A czy tym razem zadziałała Polentagraben?

Granica mentalności między częściami niemiecko- a włoskojęzyczną, jak się domyślacie, też wywodzi swoją nazwę od tradycyjnej potrawy przyrządzanej przez szwajcarskie mammy i nonny – a mianowicie od polenty. Jak głosują Ticinesi? Zwykle tak jak część francuskojęzyczna. Jednak żeby przegłosować część niemieckojęzyczną, Romandia i Ticino muszą szukać sprzymierzeńców po drugiej stronie tej jedzeniowej granicy. I często takich znajdują. Największym outsiderem spośród szwajcarskiego kolektywu zatęchłej konserwy jest kanton Bazylea-Miasto, który tak często głosuje z mniejszościami językowymi, że słusznie postrzegany jest jako część Romandii. Co więcej, mieszkańcy wielokulturowej Bazylei, stolicy koncernów farmaceutycznych i jedyne w swoim rodzaju protestanckiego karnawału, są w stanie wywołać rumieńce nawet na policzkach liberalnych obyczajowo Romandczyków. W przeprowadzonej

w 2016 roku ankiecie organizacji Love Life, badającej zachowania seksualne Szwajcarów w zależności od kantonu, Bazylejczycy zajmowali czołowe miejsca w rankingu „Czy kiedykolwiek...?” we wszystkich kategoriach. Trójkąty, kwadraty, ostrośłupy wieloramiennie – mieszkańcom Bazylei żadna geometria ekstremalna nie jest straszna.

– Sczeźnicie w piekle! – wołają katolicy Appenzellerzycy z najbardziej konserwatywnego kantonu Szwajcarii znanego głównie z bardzo późnego przyznania kobietom praw wyborczych. Kobiety w kantonie Appenzell Innerrhoden poszły do urn, by zagłosować w referendum kantonalnym, dopiero w 1991 roku i to tylko dlatego, że tak nakazał szwajcarski Sąd Federalny. Sami mieszkańcy kantonu w wielu referendach konsekwentnie odmawiali tego prawa swoim żonom, córkom i matkom.

– Zapóźnieni o jakieś 100 lat dziady z widłami – niedowierzająco kręcą głowami Romandia i Ticino.

– To tu jest prawdziwa Szwajcaria! – odpowiada centrum, czyli Uri, Schwyz i Unterwalden, które jako pierwsze w 1291 roku podpisały Akt Konfederacji uznawany za początek Szwajcarii jako państwa.

Jak widzicie, nie kochają się za mocno różne części językowe Szwajcarii. Co więcej, często nawet się ze sobą nie dogadują. To normalne, że Urs z Altdorfu, Jean-Claude z Neuchâtel i Fabrizio z Locarno porozumiewają się ze sobą po angielsku, a w innych niż własna częściach językowych swojego kraju czują się jak za granicą. Są inni, mają inne media, inną historię, inne przepisy prawne, płacą nawet inne podatki! Szwajcarzy z różnych części językowych tak nie potrafią się dogadać, że nie mają nawet stolicy państwa wpisanej do konstytucji. Berno, które uznajemy za serce Szwajcarii, jest zaledwie miastem federalnym (niem. Bundesstadt), a nie stolicą (niem. Hauptstadt). Miasto niedźwiedzi

nie jest wcale najpotężniejsze ani największe w Szwajcarii, nie ma nawet międzynarodowego lotniska. Prowincjonalizm i wielojęzyczność miasta federalnego Szwajcarii całkiem jednak pasują Szwajcarom, którzy za żadne skarby nie chcą wzmacniać jednej części językowej kraju kosztem innych.

Czy to znaczy, że są solidarni ze swoimi częściami językowymi? Nic z tego! Mieszkańcy Lozanny tak samo mocno nienawidzą mieszkańców Zurychu, jak mieszkańców Genewy. Kosmopolityczna, bankierska Genewa doczekała się nawet swojego pastiszu południowokoreańskiego przeboju *Gangnam Style*. *Le Gen'vois staile* zaczyna się od słów: „Jeżdżę tylko Porsche, BMW lub Audi A3, a kiedy jadę na narty, to tylko do Verbier i Crans-Montana, jestem paryżaninem Szwajcarii, prawdziwym narcyzem, nienawidzę tych wszystkich Francuzów (przyp. autorki: którzy zabierają mi pracę) i wieśniaków z kantonu Vaud”. Jeszcze gorsi od „wieśniaków” z francuskojęzycznego Vaud są ci z odległego kantonu Jura, którym obrywa się za zbyt regionalny akcent. Górale z alpejskiego kantonu Valais ponoć piją już od rana, a mieszkańcy Argowii nie potrafią jeździć samochodem, o czym lojalnie ostrzegają na swoich tablicach rejestracyjnych zaczynających się od AG jak Achtung! Gefahr! (Uwaga! Niebezpieczeństwo!). Wszyscy za to solidarnie nienawidzą wielkomiejskiego Zurychu. Wszyscy solidarnie? No może ci z Bazylei nieco goręcej. Rywalizacja między Bazyleą a Zurychem jest legendarna i czasami nawet bardzo dosłowna. Gdy tylko w Zurychu powstanie najwyższy budynek w Szwajcarii, Bazylea marszczy srogo czoło i wyciąga plany zabudowy miejskiej.

Podsumowując, Szwajcarów nie łączy ani język, ani mentalność, ani nawet sympatia do krajanów. Co więc łączy Szwajcarów oprócz jasnoczerwonego paszportu z równoramiennym krzyżem? Dlaczego mieszkańcy niemieckojęzycznych kantonów



Szwajcarski parlament – taki poważny w czasie upału...

nie chcą mieć stolicy w Berlinie, a Szwajcarzy francuskojęzyczni nie ciągną do Paryża? Mieszkańcy różnych kantonów nie przepadają za sobą nawzajem, ale to uczucie nie jest tak silne jak ich nienawiść do obcokrajowców. Według typowego Jean-Claude'a z Neuchâtel Szwajcarzy niemieckojęzyczni są oczywiście jacyś dziwni, ale Francuzi śmierdzą, brudzą i hałasują. Według typowego Ursa z Altdorfu może i Szwajcarzy spod Genewy są nieco zarozumiali, ale Niemcy są jeszcze gorsi. Szwajcarzy wszelkich maści i języków łączą się solidarnie w jednym uczuciu – w nienawiści do obcych. Dlatego proponuję piękne szwajcarskie hasło „jedność w różności” zamienić na bardziej realistyczne: „solidarni w nienawiści”.



Rzeka Aare zamienia się w lecie w wielki ruchomy basen. Berneńczycy wrzucają swoje ubrania i buty do worka marynarskiego, po czym wskakują z nim do wody. Nurt Aare jest rwący, ale worek działa jak boja, pomagając utrzymać się na powierzchni.

Fatalnie, kurwa!

Steve zapisał się na polski. Marudził, narzekał, rwał sobie resztki włosów z głowy, ale równocześnie lojalnie przyznawał, że to nie fair, bym tylko ja cierpiała męki na francuskim. Pierwsza lekcja polskiego Steve'a była dla mnie niezłym wyzwaniem. Z niecierpliwością tuptałam przy drzwiach jak stęskniony pies czekający na powrót właściciela. Czegóż on się tam nauczył? Czy mu się podobało?

– Dzień dobry! Jak się masz? – powiedziałam głośno i wyraźnie.

I co słyszę?

– Fatalnie, kurwa.

Moje serce przestało bić. Zachowałam się jak każda przeciętna mamusia wobec swojego niepokornego przedszkolaka, który nagle użył słowa na k.

– Kto cię tego nauczył?

– Nie wiem.

– Nauczycielka?

– Nie.

– Kolega z klasy?

– Nie wiem.

Już miałam dodać, żeby się więcej z tym kimś nie zadawał i siadał w innej ławce, ale przypomniałam sobie, że, ołaboga, jest dorosły.

Pewnie was ciekawi, kto w takiej Lozannie uczy się języka polskiego. Jak się zapewne domyślacie, są to głównie mężowie i partnerzy Polek i Szwajcarzy o polskim pochodzeniu, których rodzice zaniedbali naukę języka w młodym wieku.

Wracając do tej naszej kurwy, Steve uwielbiał to słowo. Używał go, kiedy tylko pasowało (i kochał ten właśnie moment) i kiedy nie pasowało. Na przykład gdy powtarzaliśmy lekcje z polskiego:

- Czy to jest krzesło?
- Tak, kurwa.
- Jakiego koloru jest stół?
- Stół jest chyba zielony, kurwa.

Ale żeby ta kurwa była dosadna i przepita, taka słowiańska, z krwi i kości. A jego kurwa jest francuska, to taka kurwa deluxe, z wyższych sfer, powiedziałabym nawet, że to jest luksusowa call girl pełną gębą. Za to fatalnie jest z gruntu polskie, z akcentem na fa-ta i z odpowiednim gestem podkreślającym beznadziejność sytuacji. Myślę, że mógłby już zacząć uczyć innych tego fatalnie.

Polacy w Szwajcarii nie mają złej opinii, wręcz przeciwnie, dlatego nadużywanie w tym kraju „fatalnie, kurwa” nie czyni żadnej szkody. W Polsce jest zgoła inaczej. Pewnego razu Steve chciał pójść do fryzjera w Krakowie. Ja miałam inne plany, a jako że nie byłam pewna, czy polscy fryzjerzy władają językami, dopytywałam, czy jakby co dogada się po polsku.

- Tak! – odpowiedział.
- A co powiesz?
- Krótko, kurwa.

Po długich negocjacjach Steve obiecał, że nie użyje słowa na k. Może i nie użył, ale i tak wątpię, czy był klientem dnia.

– Na końcu fryzjer zapytał, jak mi się podoba. A ja pamiętałem tylko fatalnie, źle i tak sobie. Na szczęście wiedziałem, która odpowiedź jest najbardziej pozytywnie nacechowana z tego zestawu... – dzielił się ze mną po powrocie.

– I co powiedziałaś?

– Tak sobie, dziękuję.

Swoją drogą to ciekawe. Po pierwszej lekcji na pytanie „Jak się masz?” Steve potrafił odpowiedzieć:

– Fatalnie, jestem chory.

A nie na przykład:

– Świetnie, wygrałem w totka.

Oczywiście brawo dla nauczycielki, która porządnie przekazuje kontekst kulturowy. Na pierwszej lekcji języka polskiego uczniowie uczą się narzekać. Proponuję też uczyć od razu wszystkich części ciała („Boli mnie dwunastnica!”), idiomów („Lepiej nie mówić!”) i pełnej dramatyzmu gestykulacji.

Przed pierwszym spotkaniem z moimi rodzicami kategorycznie zabroniłam Steve’owi używania na prawo i lewo jego ulubionych polskich słówek. Moi rodzice jednak nie zawiedli. Już w czasie uroczystej kolacji zaczęli podpytywać, czy zna jakieś brzydkie wyrazy. Steve się zmieszał i odpowiedział, że i owszem, zna, ale zabroniłam mu mówić (kapuś!). Jednak po wielu namowach zeszło z niego powietrze, uśmiechnął się szeroko i szczerze i powiedział z prawdziwym entuzjazmem:

– Kurwa!

– Ale jak ładnie! – pochwaliła moja mama, stateczna 60-letnia pani w nieskazitelnie odprasowanej garsonce.

Klub importowanych żon

Co importuje Szwajcaria? Szwajcaria importuje urządzenia elektryczne, środki chemiczne i żony. Aż 36% małżeństw w Szwajcarii to małżeństwa mieszane (Federalny Urząd Statystyczny, 2016). Najwięcej importowanych żon pochodzi z Niemiec, Włoch, Kosowa, Francji i Serbii, czyli albo są to córki niekochanych sąsiadów, albo córki importowanych do Szwajcarii rodzin. Polki w tym zestawieniu są dość egzotyczne. W końcu Polonia w Szwajcarii jest nieliczna (tylko 1,2% ogółu imigrantów), a sama Polska nadal mało znana. Egzotyczne czy nie, nasze rodaczki mają wysokie noty w rankingu potencjalnych żon.

Ranking żon Szwajcarów, żony jako produkt importowy – brzmi to bardziej jak z nowojorskiej giełdy niż jak z serwisu randkowego, ale tak właśnie ma to brzmieć. Czym w końcu jest małżeństwo, gdy się je obędzie z aspektu uczuciowego i emocjonalnego, jeśli nie dożywotnią transakcją opartą na wzajemnych korzyściach i obowiązkach? A przynajmniej tak właśnie się czułam, podpisując wniosek o pozwolenie na pobyt na podstawie konkubinatu z obywatelem Szwajcarii. Rzeczony obywatel Szwajcarii też musiał podpisać ów wniosek, jednocześnie deklarując, że zapewni mi utrzymanie i że będzie ponosił

za mnie odpowiedzialność finansową. Zostałam przeliczona na potencjalne wydatki medyczne, liczbę metrów kwadratowych w mieszkaniu i koszty wyżywienia. I jak tu nie czuć się jak produkt importowy?

Oprócz niezbyt przyjemnych aspektów administracyjno-psychicznych była to czysta formalność. Stempel – bach! – i papiery zostały wciągnięte do szwajcarskiej maszyny biurokratycznej, by za trzy miesiące wypuścić przepiękne, pełne przywilejów pozwolenie typu B na pięcioletni pobyt. Polka, obywatelka Unii Europejskiej, którą Szwajcar wybrał na towarzyszkę życia, nie będzie miała problemu z jego uzyskaniem. Inne narodowości mogą mieć bardziej pod górkę.

I tak dochodzimy do wspomnianego już rankingu żon Szwajcarów. Ranking ten jest oczywiście nieformalny, raczej wyszeptywany przez lekko wstawionych Szwajcarów w ciemnych barach o czwartej nad ranem.

Szczyt rankingu to bez wątpienia Szwajcarki. Zalety: bezpieczna opcja, po ewentualnym rozstaniu każdy idzie swoją drogą, podobny status finansowy. Szwajcarki to może i szczyt, ale nie szczyt szczytów. Dlaczego? Według swoich rodaków Szwajcarki bardzo wiele wymagają od swojego partnera i od związku. Tak wiele, że partner często nie jest w stanie im tego dać.

Dlatego w rankingu żon zaraz za Szwajcarkami stoją obywatelki Europy Zachodniej. Podobny status, znajomość języków kantonalnych i innych często używanych, które ułatwiają znalezienie pracy, co pomaga utrzymać partnerstwo w związku. Wady? Dziewczyny z Zachodu wiedzą, czego chcą i niechętnie dają się zamykać w domu.

Dlatego spragnieni ciepła i opiekuńczości Szwajcarzy często kierują stęsknione spojrzenia na Europę Środkowo-Wschodnią,

w tym na Polskę. Polki uważane są za świetne matki, inteligentne dziewczyny, oddane żony, dobre kucharki...

– Twoje koleżanki tak świetnie gotują – marudzi Steve – co ja zrobiłem, że trafił mi się model bez wszystkich funkcji?

W dodatku, przekonane, że idealna kobieta powinna być aktywna, Polki chcą pracować, i to jak. Chcą pracować na pełen etat, sprzątać, gotować, zajmować się dziećmi, ogrodem, domem, psem, świnkami morskimi, sąsiadami, teściową z alzheimerem, okolicznym przedszkolem i swoim szwajcarskim miś. Szwajcarski miś, nieco odurzony i przytłoczony tą dozą dobroci i przyzwyczajony do tzw. high-maintenance girls, zastanawia się, co też takiego dobrego zrobił w życiu, że złapał Pana Boga za nogi. A i Polki nie mogą uwierzyć, że w związku ze Szwajcarem te całe złote kajdany oczekiwań społecznych muszą nakładać sobie same. Bo nikt niczego od nich nie wymaga. One też złapały Pana Boga za nogi. Jak widzicie, dobraliśmy się jak w korcu maku. Jeśli dostrzegacie tu kroplę sarkazmu, nie regulujcie okularów. Kropla sarkazmu, ale tylko kropla, jest tu nieprzypadkowo.

Wróćmy do naszego rankingu. Za podium klasyfikacji wieje pustką. Kolejne opcje jednoznacznie uważane są za gorsze (choć nikt nie powie tego na głos).

Kogo my tu mamy? Skośnookie ślicznotki z krajów Azji Południowo-Wschodniej. Opcja zdecydowanie low-maintenance dla wielbicieli posłusznych, tradycyjnych żon, które nie wychodzą z kuchni i z pokoju dzieciennego. Jedyna trudność to sprowadzenie takiej żony do kraju. Szwajcaria niechętnie wydaje wizy i pozwolenia na pobyt nawet dla narzeczonych czy żon z egzotycznych krajów. Po zawarciu związku małżeńskiego taka para jest kontrolowana przez państwowe urzędy.

Kolejna ryzykowna opcja dla Szwajcarów to nasze sąsiadki ze wschodu. Wśród Szwajcarów krąży plotka, że dziewczyny

z dawnego ZSRR są niezwykle interesowne. Pierwszego dnia po tym, gdy minie termin, kiedy mogą zostać w Szwajcarii bez małżonka, składają pozew o rozwód. Te pogłoski są tak silnie zakorzenione, że pracownicy jednej z międzynarodowych korporacji przed wyjazdem do Rosji na kontrakt dostają oficjalne ostrzeżenia przed nawiązywaniem bliższych kontaktów ze złotowłosymi kusicielkami.

Wśród owych gorszych wymieniane są również gorąco krwiste Bałkanki, choć tu na dwoje babka wróżyła. Te ze starej emigracji, zintegrowane, urodzone lub wychowane w Szwajcarii należą do o wiele wyższej kasty w oczach Szwajcarów niż ich rodaczki, które dopiero co przyjechały. Główny zarzut: zbyt wielkie różnice kulturowe.

Zgadnijcie, jak się czułam na korytarzu Uniwersytetu w Lozannie w tłumie kolorowych jak egzotyczne ptaki dziewczyn, które tak jak ja chciały się nauczyć francuskiego na popularnych intensywnych kursach wakacyjnych. Czy to były studentki szlifujące język przed rozpoczęciem roku akademickiego? Być może były tam też takie... Większość jednak dopiero co przyjechała do Szwajcarii, za miłością. Pewne siebie amerykańskie blondynki, zmysłowe, lśniące Afrykanki, nieśmiałe Azjatki, nieco zirytowane pytaniami, czy mówią po hiszpańsku Portugalki, ambitne Polki, które zwykle są najlepsze w grupie... Wszystkie przekonane, że tylko znajomość francuskiego dzieli je od zdobycia dobrej pracy, zintegrowania się z otoczeniem, lepszego zrozumienia swoich teściów. Wszystkie z głodem w oczach. Wszystkie przekonane, że należymy do jednego plemienia...

– Cześć! Jestem Elena. Fajnie cię poznać! Przyjechałam do chłopaka, który tu pracuje. A ty?

Jestem członkinią Klubu Importowanych Żon. Jestem stereotypem – pomyślałam, kurczowo ściskając w dłoniach zeszyt od

francuskiego – wcielonym, żywym, oddychającym stereotypem. Bo dlaczego miałabym mówić, że nie jestem „taka”, skoro żadna z nich nie jest „taka”? A przynajmniej dlaczego miałabym to mówić na głos? Po co miałabym zaczynać naszą znajomość od zwierzania się z moich motywów i zapewniania, że są czyste? A co to właściwie znaczy „taka”? Czy każda kobieta, która wiąże się z mężczyzną o wyższym statusie finansowym, jest „taka”? Czy my żyjemy w średniowieczu, żeby piętnować mezalianse?

– Hej... – wyrwała mnie z zamyślenia Elena.

– O, przepraszam – powiedziałam, zbliżając się do niej, żeby ją ucałować trzy razy, po szwajcarsku – jestem Joanna. Jestem z Polski. Też przyjechałam do chłopaka...

– Ale wiesz – przerwała mi Elena, lekko marszcząc czoło – ja... ja tylko się nauczę francuskiego i znajdę pracę. Ja wcale nie jestem taka...